Fragmenty baśni „O krasnoludkach i sierotce Marysi” autorstwa Marii Konopnickiej

Źródło: Wolne Lektury

1.

Zima była tak ciężka i długa, że miłościwy Błystek, król Krasnoludków, przymarzł do swojego tronu. Siwa jego głowa uczyniła się srebrną od szronu, u brody wisiały lodowe sople, brwi najeżone okiścią[10] stały się groźne i srogie; w koronie, zamiast pereł, iskrzyły krople zamarzniętej rosy, a para oddechu osiadała śniegiem na kryształowych ścianach jego skalnej groty. Wierni poddani króla, żwawe krasnoludki, otulali się jak mogli w swoje czerwone opończe[11] i w wielkie kaptury. Wielu z nich sporządziło sobie szuby[12] i spencery[13] z mchów brunatnych i zielonych, uzbieranych w boru[14] jeszcze na jesieni, z szyszek, z huby drzewnej, z wiewiórczych puchów, a nawet z piórek, które pogubiły ptaszki, lecące za morze.

Ale król Błystek nie mógł się odziewać[15] tak ubogo i tak pospolicie. On zimą i latem musiał nosić purpurową szatę, która od wieków służąc królom Krasnoludków, dobrze już była wytarta i wiatr przez nią świstał. Nigdy też, za nowych swoich czasów nawet, bardzo ciepłą szata owa nie była, ile że[16] z przędzy[17] tych czerwonych pajączków, co to wiosną po grzędach się snują, utkana, miała zaledwie grubość makowego listka.

Drżało więc królisko srodze[18], raz wraz chuchając w ręce, które mu tak zgrabiały, że już i berła utrzymać w nich nie mógł.

W kryształowym pałacu, wiadomo, ognia palić nie można. Jakże?! Jeszcze by wszystko potrzaskało: posadzki i mury.

2.

Wieś była duża, szeroko rozbudowana wśród poczerniałych teraz i bezlistnych sadów, a ostatnie jej domostwa opierały się o ciemną ścianę gęstego sosnowego boru.

Chaty były zamożne, świeżo wybielone[43], z kominów ulatywał dym siny, w podwórkach skrzypiały studzienne żurawie[44], parobcy[45] poili konie i porykujące bydło, a kupki dzieci bawiły się hałaśliwie na wysadzonej topolami drodze to „w gonionego”, to znów „w chowanego”.

Ale nad całym tym gwarem górował huk młota i dźwiękanie[46] żelaza w pobliskiej kuźni, przed którą stała gromadka lamentujących niewiast.

3.

Ale już z górki mgła spadła w dolinę, chwilę majaczyła nad nią, niby biała chusta, powlokła ścianę leśną modrym[168], lekuchnym oparem, aż rozeszła się wreszcie po jarach[169], a łąki i pola, gaje i dąbrowy stanęły widne w złotym świetle słońca.

A wtedy od południowego stoku wzgórza wyszła piękna dziewica, trzymając ręce wzniesione nad ziemią i błogosławiące. Bosa szła, a spod jej stópek błyskały bratki i stokrocie[170]; cicha szła, a dokoła niej dźwięczały pieśni ptasze i trzepoty skrzydeł; ciemna była na twarzy, jak ciemną jest świeżo zorana ziemia, a gdzie przeszła, budziły się tęcze i kolory; oczy spuszczone miała, a spod jej rzęsów[171] biły modre blaski.

To była wiosna.

4.

Nie było chyba na świecie rozkoszniejszego ustronia jak to, które król Błystek, podziemnymi norami dokoła chatynkę Skrobka obszedłszy, na siedzibę swą letnią nieopodal wybrał. Pełen zielonego zmierzchu i świeżości od wielkich liści łopianu, który tu się lasem prawie rozrastał, leżał ten zakątek uroczy między owym zapuszczonym, wiśniowym, w kwiecie stojącym sadem a modrą[483], wijącą się wśród łąk niskich strugą[484].

Do sadu przytykała z jednej strony lepianka ubogiego Skrobka, a z drugiej mały kawałek ugoru[485], na którym bujały żółte dziewanny i puszyste cykorie, wśród mietlic[486] tak gęstych, że całe to odłogiem już od dawna leżące pólko wydawało się z daleka srebrzyste i złote.

Ale na wąskiej miedzy[487], która je od olszyny dzieliła, rosły tu i owdzie krzaki głogu osypanego różowym, delikatnym kwieciem. Ile słowików śpiewało tu co noc, ile ich się odzywało z olszyny, tego by nikt nie zliczył. Próbowały je przekrzyczeć żaby, których tu wielka moc[488] była, pomagały żabom kurki wodne i cyranki[489] gnieżdżące się wśród trzcin i tataraków ponad modrą strugą, ale przecież nie mogły. Chóry żab, ptactwo wodne swoją drogą, a słowiki swoją. I tak to szło całymi nocami.

Nie przeszkadzała im i ta bliskość chaty ubogiego Skrobka, o której kto nie wiedział, to ją minąć mógł i nie widzieć nawet, tak była gałęźmi wierzb płaczących i wysoko wyrosłym zielskiem nakryta, tak głęboko w ziemię schowana.

Ludzką siedzibę zdradzała tylko smużka dymu, wymykająca się poprzez ten gąszcz zieleni ku niebu, kiedy w południe Skrobek dzieciom i sobie kartofle w kominie[490] warzył[491]. Pies tu nawet nie zaszczekał, iż go czym żywić nie było, a i pilnować takoż nie miał czego.

5.

Cicho skrzypnęły niskie drzwi lipowe, cicho weszły Krasnoludki do chaty ubogiego Skrobka, razem z perłowym dnia brzaskiem.

Jedna tu tylko była izba, z której każdego kąta wyglądała bieda. Największą część tej izby zajmował duży komin z ogromnym zapieckiem[462]; przed kominem leżał zwinięty kot bury i pęk suchego chrustu postronkiem[463] z kulką związany.

Nieco dalej stał cebrzyk[464] z wodą i blaszanym półkwartkiem[465], parę garnków do góry dnem przewróconych zajmowało ławę, przy ławie stół sosnowy, dwa zydle[466] i trochę kartofli w kobiałce[467].

Pocieszny był widok Krasnoludków, którzy przypatrując się ubóstwu temu, załamywali ręce i nie śmiejąc głośno wyrzekać w obecności króla, trącali się łokciami i ukazywali sobie wzrokiem to pusty komin, to ławę krzywą, to ową nieszczęsną kobiałkę, która widocznie była jedyną śpiżarnią ubogiego Skrobka. Długie ich nosy poprzedłużały się jeszcze bardziej, wąsy jeszcze bardziej opadły, sfałdowały się czoła, wydęły wzgardliwie wargi, a stłumione szemranie dobywało się z nich przez ostre, zaciśnięte zęby.

6.

Wzbija się kurzawa na piaszczystej drodze, wrzask gęsi miesza się z pokrzykiwaniem pastuszków, klaskanie biczów rozlega szeroko w powietrzu, a nad całym tym gwarem panuje przeraźliwy krzyk sołtysowego gąsiora, który idzie, machając skrzydłami, przed stadem, jakby wódz przed wojskiem.

Ale od jednej chaty śpieszy na łączkę pod bór małe stadko gęsi: cztery białe, a znów trzy siodłate[403]. Za gęśmi idzie Marysia sierotka, w zgrzebnej koszulinie, w modrej[404] spódniczynie i boso. Uboga jej odzież schludna jest i czysta, złote włoski uplecione, twarzyczka pięknie umyta: idzie Marysia po łączce tak lekko, że trawki nie czują prawie jej ciężaru.

Przy Marysi biegnie mały, żółty piesek, wesoło machając ogonem i poszczekując na gąski, gdy która chce się odbić od stadka. Nie potrzebuje też Marysia przy tak dobrym pomocniku bicza na swoją gromadkę i niesie tylko gałązkę wierzbową.

7.

Stał dwór królowej Tatry na wysokiej górze; na górze tak wysokiej, że chmury u stóp jej leżały, jako siwych owiec stada, a szczyt promieniał słońcem na czystym lazurze.

Dwa bory świerków wiodły do wrót zamku; dwie skały, dwa kamienne olbrzymy straż przed wrotami trzymały; dwa gaje kosodrzewiny[605] rozścielały kobierce[606] mchu na schodach do komnat królowej wiodących, dwa potoki dzień i noc lały po przysionku[607] srebro z malachitowych[608] dzbanów wyrzeźbionych cudnie; dwa orły latały nad wieżycami zamku, dwa wichry wyły u jego progów jak dwa brytany; dwie gwiazdy sine paliły się w otworach wieżyc: zaranna i wieczorna jutrzenkowa gwiazda[609]. I przestrach, i zachwyt ogarnął Marysię i duszką jej wstrząsnął, gdy się przed tym dworem znalazła.

8.

A wtem poszedł powietrzem huk jakby stu gromów i rozległ się chór świerkowego boru, który na czarnych harfach pieśń potężną grając, tak śpiewał:

— ...Straszna i potężna jest królowa Tatra. Wysoko nad ziemią wzniesiona jej głowa! Korona lodów na skroni, śniegów zasłona spływa po jej szyi, mgły sinej szata postać jej odziewa. Jej oczy posępne i mściwe rzucają błyskawice, jej głos jest hukiem potoków i grzmotów burzy. Jej gniew zapala pioruny i łamie bory, jej łoże, z chmur czarnych usłane, snu nie udziela nikomu, jej stopy gniotą kwiat każdy i każdą trawkę... jej serce kamienne nie wzrusza się nigdy i niczym. Straszna i potężna jest królowa Tatra!

Zadrżała Marysia, chóru tego słuchając, który gdy umilkł, biły echa po przepaściach, jako nawałnica, staczając się coraz niżej i niżej, a grożąc dolinom cichym.

Lecz zaledwie echa te umilkły, ozwał się drugi chór, na lutniach[610] srebrnych pieśń swą grając.

Chór ten śpiewał:

— Dobra i litościwa jest królowa Tatra! Ona mgły cienkie przędzie, nagość gór odziewa, wianki z kosodrzewiny wije, na czołach im kładzie. Ona śniegi martwe w jasne potoki zamienia, pola i niziny wodą zdrojową poi, aby wydały plon chleba. Ona orłom siwym uchronę[611] w domu swym daje, a pisklęta ich bezpióre w gniazdach wysokich kolebie. Ona w komorach swych chowa kozicę śmigłą i zakrywa ją przed postrzałem łowca[612]... Ona okiem słodkim w doliny patrzy, kwiat w nich tchnieniem najświeższym od skwarów broni... Ona tka z aksamitnych mchów cudne makaty[613] i wyściela nimi przepaście tajemne. Ona wyżywia lud ubogi, co pól i zbóż nie ma, a dziatki z góralskiej chaty uczy patrzeć w błękit, gdzie ma dom swój... Dobra i litościwa jest królowa Tatra!

9.

Ale trzeciego dnia weszła Marysia w świat gór i strumieni, który był modry od mgieł i dalekich szczytów, a srebrny od wód, a dzikszy niżeli oba tamte pierwsze światy.

Jak okiem zajrzeć, stoją skalne zręby, pod niebo się wspinając, jedne na drugie tłocząc, bodąc chmury czołem.

Jak okiem zajrzeć, huczą zdroje żywe, pasma wód tryskają spod głazów i biegną z szumem, i pienią się, i grają, i przegląda się w nich złoto słońca i modrość[604] nieba. I przeglądają się w nich gnane wiatrem chmury, co modrość tę zdmuchują i to złoto gaszą. Dziki, groźny świat! Strach iść tam, między te skały! Drogą tu — strumień, co po kamykach brzęczy, głosem — huk głazów toczących się w przepaście, pieśnią — skwir orłów ważących w powietrzu mrocznym ciężkie swoje skrzydła. Gdzie oko puścić, gdzie spojrzeć — kamień i woda. Taki świat!

10.

Ale w Słowiczej Dolinie gwarno było i rojno. To król Błystek zwołał wiec i zamykał go właśnie uroczyście. Piękny był widok!

Pod dębem prastarym, którego liście drżały lekko w powietrzu uciszonym, jasnym, stał tron królewski, z kamieni polnych wzniesiony, mchami i kwieciem nakryty, kobiercem mchów podesłany. Dokoła tronu drużyna wiernych Krasnoludków w jaskrawych odzieżach, w pstrych kapturach, z narzędziami prac swoich w ręku.

Gwarno i raźnie w gromadce tej było; nikt tu nie stał ze smutną i ponurą twarzą.

Uśmiech latał z ust na usta, zapał błyszczał w źrenicach, ręce się bratersko ściskały, serca żywo biły.

Ale nagle gwar ucichł i szmery umilkły.

Podniósł się król, tak jako był widzian[816] w ową noc sobótki[817], w białej szacie królewskiej, w złotej koronie i z brylantowym berłem. Ale choć w bieli był, taki blask padał na niego od zachodniej zorzy, iż mu się szata złotem i purpurą mieniła na przemian i po twarzy mu ognie szły, a siwa broda jego drżała srebrem. Wstał oto i podniósł berło. Uderzyli trębacze w złote trąby krótką pobudkę i umilkli.

Król spojrzał na lud swój, a skinąwszy berłem, rzekł:

— Drużyno moja wierna! Pracowniki moje! Kończy się dzień wasz i robota wasza. Wieczór idzie, a z nim spoczynek i spokój. Spojrzyjcie na poranek i na południe wasze przy blaskach zachodniej zorzy, albowiem to jest pochodnia, która pokazuje prawdę dnia!